Wychodzą we Lwowie we *Wtorek, Czwartek*, i *Sobotę*. Prenumerata rocznie **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr.
Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr. za następne po **2** kr.; w dodatku po **3** kr. za następ. po 1½ kr. za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

19. Kwietnia 1856. №47. Rok trzeci.

Sejmik w lesie.

Ciąg dalszy.

Matka rozgościwszy się nieco, wystąpiła z żądaniem swojem, aby panowie bracia dobrodzieje poradzili, co ma dalej ze mną robić?...

— Niewiem sama jaką wybrać dla niego karjerę?

— Karjerę?... zawołał pan Marek z nieudanem zadziwieniem. A jakąż on teraz może zrobić karjerę. Tfu! Co asińdźka pleciesz, gdzież teraz karjera?.. Dajcie mi pokój z waszemi karierami. Śmiech ludziom powiedzieć, im się jeszcze śnią jakieś kariery.

To rzekłszy z pewnem oburzeniem, splunął raz jeszcze, i najzawzięciej wrócił do pasjansa, kiwając tylko głową na dalszą rozmowę.

— Pan brat się myli, ozwał się pan Tadeusz, rzuciwszy ukradkiem wzrok czuły na zwierciadło. I owszem, należy myśleć o karjerze przyzwoitej, pożytecznej, któraby przyniosła pewną wziętość i znaczenie.

— Djabła przyniesie, mruczał pan Marek.

— Gdyby pani starościna żyła jeszcze, wzięła by go do siebie na moją instancją, i tam by był nabrał światowej ogłady.

— A stracił zdrowie... zawołał pan Stanisław, coraz niecierpliwiej słuchający tej rozmowy.

Pan Tadeusz czy nie uważał, czy udał że nie słyszy, mówił dalej. Trzeba zaś wiedzieć, że z panem Stanisławem mało kiedy bracia się kłócili, bo pan Stanisław jako prawdziwy liberał, nadzwyczaj był despotyczny z braćmi co do zdań swoich, które im wstępnym bojem, po żołniersku narzucał.

— Ale zawsze trzeba go puścić w świat, i oddać w dobre ręce. Możeby go chciał wziąć do siebie starościc na sekretarza, albo...

— Na kamerdynera!... zadrwił pan Marek.

— Na fagasa, grzmiąco krzyknął pan Stanisław.

— Nie sztuka drwić... Ot przecie ja!...

— Zarobił na łysinę, ozwał się pan Marek.

— Djable wiele ci przyszło panie bracie, z tej służby u pani starościny. Straciłeś młode lata i przyszła ci z tego figa!... dodał pan Stanisław.

— Gdybym tylko chciał, mówił znowu pan Tadeusz, miżdżąc się do zwierciadła; każdej chwili mógłbym znaleść dobrą partją i ożenić się, nieprawdaż bracie Wojciechu?..

Pan Wojciech najmocniej kiwnął głową, co właściwie powtarzał przez ciąg całej rozmowy, potakując tym sposobem każdemu z braci, skoro zauważył że się który zwraca ku niemu. To już była jego zwykła maniera, nigdy żadnemu się nie sprzeciwił bratu, ale swoje robił przeto.

— Oj to, to, to prawda!... zagadła moja matka, niechcąc jako kobieta opuścić nadarzającej się sposobności. Panowie bracia powinni by przecie pomyśleć już raz o ustaleniu swoich losów, i pobrać żony.

— Upadam do nóg mości dobrodzijce, śliczna rada, żenić się do stu bomb! A wolałbym panie iść na dwie baterje!...

— Pan brat Marek zawsze żartuje. Ot pan Stanisław powinien by dać przykład braciom...

— Nie głupim, zagadł śmiejąc się pan Stanisław, robiąc aluzją do lakonicznej odpowiedzi, jaką przypisują jednemu jenerałowi gdy mu w ciężkich chwilach ofiarowano naczelne dowództwo.

— Wracając do Jasia, ciągnął pan Tadeusz dalej, najlepiej by oddać go jakiego pańskiego dworu, bo już to gadajcie państwo co chcecie, politura grunt.

— A to go oddajcie do stolarza, kiedy wam tak idzie o politurę.

Na ten koncept pana Marka zaśmiali się wszyscy, a pan Stanisław korzystając z chwili, przemówił żywo do matki mojej:

— Wszystko to jest próżna gadanina, torby sieczki nie warta. Co tam myśleć o wyborze jakiejś karjery, kiedy te wszystkie plany na nic się nie przydadzą. Niech się uczy dobrze jezdzić na koniu, pałaszem robić, a strzelać celnie, a w wolnych chwilach niech czyta księgi żywota i inne tym podobne dzieła, a karjera sama po niego przyjdzie, piękna karjera, jedynie godziwa dla polskiego szlachcica!...

— Ot byś panie Stanisławie, chłopcu głowy nie zaprzątał próżnemi nadziejami, przemówił pan Marek i szczerze westchnął.

— Mylisz się bracie Marku! zaczął pompatycznie pan Stanisław.

— Amen, amen, mój ty poczciwy kaznodziejo! zawołał pan Marek pół żartem, pół serjo.

— Jasio będzie żołnierzem, pani siostro! wykrzyknął pan Stanisław z niezwykłą energją.

— To dobrze, mam ich czterech, oddam wszystkich, ale tymczasem... czas upływa... trudnoż trzymać wszystkich w domu, zresztą moj mąż chce koniecznie....

— Mąż znowu, przerwał drwiąco pan Marek. Czy i w Jelitowcach mężowie zaczynają mieć wolę własną? To już chyba i wróżby pana Stanisława się ziszczą.

— Pani siostra pozwoli słówko powiedzieć, ozwał się nieśmiało i pół głosem pan Wojciech.

— Właśnie chciałam prosić pana brata.

— Poradzi ci gospodarstwo...

— Gnój wozić!...

— Za pługiem chodzić, zakrzyczeli i zaśmiali się bracia.

Pan Wojciech nic na to nie odpowiedział, bladą tylko twarz swoją zwrócił ku śmiejącym się, i oczy zaśkliniły się jakby łzą. Na twarzy i w oczach, był niemy wyrzut, który zdawał się braciom mówić:

— A ja was przecie tem gospodarstwem i tą pracą moją karmię, karmię i kocham.

Gdy po chwili śmiech panów braci ustał, pan Wojciech ozwał się znowu zwrócony do matki mojej:

— Gospodarka jest dla nas biednej szlachty najprzyzwoitsza i najnaturalniejsza karjera; ziemia, gnojem karmiona, odwdzięcza się stokrotnym plonem, a pług równie ze stali jak i oręż. Dzieje nasze nieraz tego dowiodły że gdy było potrzeba, lemiesz poszedł na oręż. Ale Jasiowi ja tego nie radzę, bo i ojciec żyje i zdrów, i gospodarzyć lubi, są i starsi do tego bracia, i nie ma tak dalece na czem gospodarzyć. Prawnikiem nie będzie.....

— Co! prawnikiem, krzyknął pan Marek i kartami w stół uderzył. Polski szlachcic prawnikiem, mataczem, gryzipiórkiem, Tfu!...

— Już się teraz i prawnicy wkręcają do wyższych domów, rzekł pan Tadeusz półgłosem.

— A wolałbym żeby zginął, krzyknął pan Stanisław. Szlachcic krew nie atrament przelewać powinien, nie jemu to siedzieć za stołem, płaszczyć się i łapy lizać. Mamy na to dosyć nieszlachty.

— To też prawnikiem nie będzie. Na żołnierza mało ma zdrowia i ochoty podobno nie wiele. Jasio cichy, spokojny, ot najlepiej niech zostanie księdzem.

— Księdzem!.. zawołali od razu wszyscy z zadziwieniem, jakby tej myśli pojąć nie mogli.

— Księdzem!... rzekł pan Marek po chwili. A to szczególna myśl, Ha!.. chyba żeby modlić się nad grobami naszemi.

— To wcale przyzwoita karjera, zawołał pan Tadeusz. Może zostać biskupem.

— Księdzem, księdzem!.. powtarzał pan Stanisław sam do siebie. Zapewne, i księży nam potrzeba, aby umieli przemawiać do naszego ludu, i pogodzić go ze szlachtą, która lat tyle nadużywała władzy swojej, dodał z emfazą literat pan Stanisław...

— Jest ich czterech, ciągnął dalej pan Wojciech. Jeden z nich gospodaruje, drudzy niech wojują, a ostatni niech bogu służy. Tym sposobem najprędzej przestanie być ciężarem swojej rodzinie.

Długa była jeszcze i gorąca rozprawa między wujami memi. Na koniec skłonili się wszyscy do zdania pana Wojciecha. Moja matka gdy się raz zdecydowała, i ojciec się nakłonił. I tym to sposobem znalazłem się nagle na drodze do seminarjum.

Smutna to była chwila rozstania, smutna jak każde pożegnanie, a jeszcze pożegnanie stron i osób drogich, do których serce od dzieciństwa przylgnęło. Jeszcze raz przed skromną strzechą naszą zeszli się i wujowie i dalsi krewni, zebrali się wszyscy Jelitowie, by młodzieńca swojej krwi pożegnać. A żegnali serdecznie, jak zwykle u nas, bo i uściskiem i błogosławieństwem i łzami. I nie dosyć na tem, ale obdarowali czem kto mógł na drogę, bodaj kołaczem z grubej mąki, w nocy na prędce upieczonym. Poczciwe to u nas serca w tej wiejskiej szlachcie. Tysiące po wierzchu przemyka się śmieszności, przesądów, narowów, ale grunt zawsze najlepszy. Nie mogę bez rozrzewnienia przypomnieć sobie tej chwili. W naszej wsi Jelitowcach sławni byli z domowych niezgód. Zawsze była jakaś przyczyna do kłótni. I wówczas jak pamiętam sławna zaszła sprzeczka między Jelitami przedgrobelskiemi i zagrobelskiemi. Aż do procesu przyszło, bo jeden z Jelitów, pan Szymon, idąc za tegoczesnemi wyobrażeniami, choć szlachcic i Jelita, został w mieście prawnikiem, i póty dmuchał w tlejącą niezgodę, póki nie wydmuchnął procesowego ognia, przy którym by mógł upiec pieczeń prawniczą dla siebie. Prawda, że o ważną szło rzecz, bo o wodę. Grobla nigdy nie naprawiana przepuściła w jednem miejscu stawową wodę i zatopiła panu Jozafatowi Jelicie, ojcu Szymona, studzienkę, za ogrodem na łące stojącą, w której, dokąd ludzka pamięć sięgała, nikt nigdy wody nie czerpał.

Otóż gdy się wszyscy zeszli do moich rodziców, aby mnie pożegnać, jak się jakoś rozczulili, tak i do zgody przyszło. Przedgrobelscy i zagrobelscy Jelitowie podali sobie ręce, obcałowali się, napłakali i naprzysięgali solennie, co znowu dziadka mego zdeterminowało, że czwarty z kolei wyniósł z piwnicy gąsiorek starki doskonalej, która jak twierdził, Szwedów pamiętała.

Nareszcie zajechała furka po mnie. Ciche łzy przemieniły się w głośny płacz, z jakim wyprowadzono mnie. I jeszcze kawałek przeprowadzono mnie aż po za groblę. Już to wiele się do tego zaszczytu przyłożyło, że ja i tak piechotą iść musiałem przez groblę, dla oszczędzenia osi u wózka; bo nasza grobla była sławnie osiożercza. Może by i drugi tych odprowadzin znalazł się powód. Oto za groblą, naprzeciw dworu czterech braci Jelitów, była cerkiewka, ze środka ciemnych modrzewiów wystająca, a zatem tuż koło niej, pod opieką krzyża na dzwonnicy, najbliższa naszych kościołów sąsiadka, gościnna karczemka. A w tej karczemce mieszkał żyd Moszko, a tenże Moszko miał piwnicę, a w tej piwnicy było piwo sławne na całą okolicę, prawdziwe marcowe, o którem nie mają nawet wyobrażenia dzisiejsze pokolenia, pijące jakieś untercajgi, obercajgi, bokbiery i inne naśladowania piwa, bez słodu i chmielu.

Tam tedy udecydowano odprowadzić mnie. A więc najprzód, przechodząc koło cerkiewki, klęknąłem i wielu zemną klękneło, i modliliśmy się szczerze. Po łzach, uściskach i błogosławieństwach poczciwe krewniaki i sąsiedzi dawali mi modlitwy swoje na drogę. Stary i poczciwy pa-

roch pobłogosławił mnie, i weszliśmy do karczmy. Tam już mniej się łez wylało, ale za to piwa więcej, a rad dobrych także nie mało. Każdy coś swego powiedział, a każdy z serca i z przekonaniem, że jego rada najlepsza.

— Staraj się tylko wchodzić w lepsze towarzystwa, mówił jeden wujaszek, pchaj się miękzy paniczów o ile będziesz mógł, to się upolerujesz.

— Nie wiele mam, szeptał praktyczny wujaszek, ale tu masz dziesięć reńskich cwancygierami, same z matką boską... Weź je, może ci się kiedy przydadzą.

— Słuchaj aspan, jak już zostaniesz księdzem, pamiętaj przy każdej mszy westchnąć i pacierz zmówić za tych co polegli i tu i tam po świecie....... i za mego cesarza duszę, dodał ciszej, który mi własną ręką ten krzyż, i tę samę przypiął wstążeczkę. Masz z niej kawałek, jego ręka się tej wstążeczki dotykała. Nie zapomnij tego nigdy chłopcze, bo to był wielki człowiek mimo takich półgłówków jak pan Stanisław, którzy krzyczą na niego.

To były ostatnie słowa jakie doszły uszów moich. Spłakany siadłem do wózka.

— Bądź zdrów Jasiu! krzyknęli jeszcze wszyscy, i mały parobczuk Iwaś zaciął dwie stare chude ale srokate za to szkapy, i wózek prosty, półkoszkiem obdarzony, zatańcował na nierównej drodze.

Jeszcze raz na zakręcie drogi widziałem jak stali wszyscy przed karczmą, i patrzyli za mną. I nagle znikło mi wszystko z oczów, znikło, jak tyle innych ponikło mi na zawsze osób i zdarzeń.

Ta cichość nagła po kilkogodzinnym gwarze, ta zupełna samotność po hucznem towarzystwie, skłaniały mnie w pierwszych chwilach mojej podróży do rozpamiętywań, które nie były wesołe. Żal mi było tego co minęło, a to wszystko nieznajome co mnie czeka, straszyło mnie mimo woli. Darmo mały Iwaś przerywał myśli moje wykrzyknikami najnaiwniejszemi, bo jemu świat cały w różowych wydawał się kolorach. Zbywałem go milczeniem lub krótkiemi odpowiedziami. I tak trwało kilka godzin. Myśl młoda nie może się długo w same ciemne oblekać szaty. I moje myśli pomału na inny tor schodzić zaczynały, i z środka ciemniejszych o przyszłości wyobrażeń, zaczęły się wymykać jak słoneczne promienie z poza chmur, jaśniejsze smugi. Były to ciekawość młodzieńcza, i ta w młodym wieku tak żywotna nadzieja. I wszystko zaczęło pomału inną przybierać postać. I dzień wydał mi się pogodniejszy i okolica ładniejsza, i cała przyroda powabniejsza. Żal mi było zawsze za rodzicami i krewnemi, ale to należało już do przeszłości, a ja młody dążyłem ku nieznanej jeszcze przyszłości, o której roiłem po młodemu.

(C. d. n).

Pielgrzymka Czajlda Harolda,

poema lorda Bajrona, spolszczone

przez Wiktora z Baworowa.

Ciąg dalszy.

Śród urodzajnych dolin, wzgórzy romantycznych,
Kwitnących wdzięków, powabów rozlicznych,
(Szkoda że w tej krainie wolny lud nie mieszka!)
Wiedzie naszego Czajlda wązka, kręta ścieszka.
Niechaj dziwi się próżniak, drwi sobie z podróży
Która nie trudem, lecz użyciem nuży;
Wyższego szczęścia nieba mu nie dały:
W górach zawsze wietrzyki świeżą woń roznoszą,
Tam człowiek w pełni życia oddycha rozkoszą,
Jakiej uczuć nie zdolny wygodniś ospały.

Z wolna wzgórza maleją i nikną, płaszczyzna
Ściele się przed oczyma ze wszech stron szeroko:
Tam jak daleko zdoła donieść oko,
Usiadło grono królestw, Hiszpanów ojczyzna.
W oddali niezliczone bielą się na niwie
Runa trzód, za któremi kupiec goni chciwie.
Ale wnet morderczy cios cały kraj zaboli,
Swobodny pasterz uzbraja się stalą,
Najezdnicze się wojska na kraj cały walą,
Trzeba walczyć o życie, lub uledz niewoli.

Gdzie Luzytanja z siostrą się spotyka,
Cóż między niemi stanowi granicę?
Nim do siebie się zbliżą te spółzawodnice,
Cóż zazdrośne rozdziela? Czy królewska rzeka
Tagu? lub też w kamiennej pysze Sierry skały?
Czy dzieło ludzi, owe chińskie wały,
Na pograniczu stojąc, kończyń państwa strzegą?
Nie szumi Tag szeroki, nie piętrzą się mury,
I nie sterczą tam w śniegu niebotyczne góry,
Jakie stoją na straży państwa galickiego.

Sam jeno cienki ponik cicho sobie płynie,
Skromny, nieznany, bezimienny prawie,
Tam pasterz, nieprzystępny trwodze ni obawie,
Na swym posłusznym kiju wsparty, w złej godzinie
Która krwią żyźni urodzaje łanów,
Patrzy w szemrzącą falę, narodu strażnicę;
Skryty i dumny jakoby pan z panów;
Nie dba o Luzytanią, zna dobrze różnicę
Między sobą a nędzną swoją przeciwnicą,
Najpodlejszą pomiędzy ludy — niewolnicą.

Zwolna o podal toczy się Gwadiana,
Zda się narzekać smętna i ponura;
Niegdyś płynęła posoką rumiana,
Tyle wsławiona w dumach trabadura.
Tu niegdyś z za jej brzegów, z ręki muzułmana
Na roty chrześcijańskie świszczała strzał chmura,
Z wściekłemi hordy zastępy pancerne
Tu bojowały, dumne, w ciemnej krwi koralach,
Krzyże pobożne, księżyce niewierne
Tonęły społem w przepaścistych falach.

*

Przemów, piękna Hiszpanio! powiedz gdzie się podział
Sztandar, co wzniósł Pelagiusz, gdy ręką zdradziecką
Ojciec Kaby [1]) mścił swoje znieważone dziecko,
Krainę Gotów żałobą przyodział,
Własną ojczyznę dał na pastwę wroga.
Gdzież jest chorągiew honoru i Boga,
Co igrała zwycięzko pod wiatru oddechem,
Przerzuciła złe plemię za granicę morza?...
Srodze wówczas ubyło dumnego dwuroża,
I Afryka zadrzała płaczliwem skarg echem.

Czy wieść gminna o świętych tych przygodach nie śni?
Tak! oto najpiękniejsza bohaterów sława:
Gdy czas z pargaminowych świadectw się najgrawa,
Sławna przeszłość wiekuje w tęsknej, sielskiej pieśni.
Górna mieszkanko, pycho! patrz co się tu dzieje!
Gmach się wali, słup łamie, i księga butwieje;
Po granicie skruszonym, po uschłym wawrzynie,
Wielki, przebrzmiały rozgłos żyje na wsi w gminie:
W jednem tylko podaniu pokładaj nadzieję,
Gdy pochlebstwo umiera z tobą, kłamią dzieje.

Powstańcież ze snu, powstańcie, Hiszpanie!
Tak na was wasze bóstwo woła, duch rycerski,
Choć już dawno ustało czerwonych kit wianie,
I zniknął zwinny oszczep, ów oszczep szermierski
Przecież ten sam duch straszny, grożąc krwawym ciosem,
Woła spiżową piersią, krzyczy gromu głosem:
«Obudźcie się, powstańcie!» Hiszpanii synowie,
Powiedźcie, czy ten odzew równie szybkim biegiem
Rozbrzmi dzisiaj, jak wówczas gdy w proroczem słowie
Pieśń wojenna zatrzęsła Andaluzii brzegiem?

Słyszycie jak od kopyt pole zatętniało?
Drzą góry, błyska, piorunuje działo,
Wzbija się chmura kurzu, spada grad kartaczy?
Ścierają się potęgi, mord ziemię krwią znaczy.
Lećcież braciom na pomoc, wprzód nim legną trupem,
Nim staną się tyranów, sług tyrańskich łupem,
Już opokom opoki, bez przerwy ryczące,
Głoszą, że wskróś padają walecznych tysiące.
Śmierć na obłoku z dymu jedzie w lot na gody,
Bóg wojny bije nogą ziemię, drżą narody,

Czy widzicie na górze tego tam olbrzyma?
Na łbie wstrząsa włos krwawy, ciemny, rozczochrany,
Ogniowe dźwiga pięście, gromy w ręku trzyma,
Gore wnet wszystko, skoro mgnie oczyma;
Oko przewraca w słup, to na przemiany
I toczy wzrok i ciska, drzącemi kolany
U żelaznych nóg jego zguba i zniszczenie
Klęczą; chcąc bydź świadkiem waleczności cudów,
I napić się krwi ciepłej, spełnić przeznaczenie,
Patrzą na schadzkę trzech potężnych ludów.

Dla wszystkich, oprócz brata albo przyjaciela,
Nader to wdzięczny widok, widzieć różnowzory
Tłum zastępów, chorągwie, wojskowe przybory,
I stal jasną co błyska, płonie, światłem strzela!
Już i wojena zgraja, spuszczona ze sfory,
Wietrzy zwierza, ujada, prze nieprzyjaciela.
Wielu idzie na łowy, — powróci nie wielu!
Śmierć użnie krocie kłosów z rycerskiego szyku,
Szatan zniszczenia w swem dzikiem weselu,
Nie zdoła nawet oznaczyć ich liku!

Trzech wrogów się spotkało dla krwawej ofiary,
Grożą sobie nawzajem świetne trzy sztandary,
W trzech językach modlitwa pod niebo wzleciała,
Czeka Francją, Hiszpanią, lub Albion chwała!
Wróg, biedna zdobycz i jej sprzymierzeniec,
(Co darmo walczy nie czeka go wieniec)
Zeszły się dla kuszenia bezwzględnego gromu,
Tak jak gdyby niemogli umrzeć sobie w domu.
Chce im się tuczyć kruki w błoniach Talawery,
Kłócą się o piędź ziemi chciwe bohatery!

Tam uwięzną czci żądni szaleńce szlachetni!
Tam honor ich mogiłę pamiątką uświetni!
To sofizmat ucieszny i smutny, wszak oni
Są narzędziem, chwilowem narzędziem, co kruszy
Despota, gdy tratując serca ludzi, goni
Dokąd? ach! do czczej mary! zachcenia złej duszy!
Bo czyż ten władca co się mocą puszy,
Zdoła mienić za swoje, to co dzierzy w dłoni?
Czyż ów tyran na własność wziął tę garstkę ziemi,
Gdzie między robakami gnije żarłocznemi?

O, Albuero! smutne pole sławy!
Kiedy pielgrzym po tobie bódł konia ostrogą,
Mógłże myśleć, że w krótce napełnisz się srogą,
Niezmierną tłuszczą, obaczysz bój krwawy?
Pokój poległym! niechaj łza zwycięstwa
I laur walecznych, będzie nagrodą męczeństwa,
Aż inni innych wtrącą do grobowej cieśni.
Twe imie Albuero, w ognistym promieniu
Będzie w niebie młodemu świecić pokoleniu,
Tutaj stanie się nutą nieśmiertelnej pieśni.

Dość o tem! Niechaj błaznowie szczęśliwi
Grają sobie w grę życia, za sławę krwią płacą:
Wielka sława w mogile trupa nie ożywi,
Choć sławy tysiącami skonów się bogacą.
Dajmy im ginąć w tej słodkiej ułudzie,
Że giną za ojczyznę! niebezpieczni ludzie
Co frymarczą honorem, podrzeźniają cnotę.
Niech śmierć szalonych sprząta najemników,
Raczej niżby wzróść mieli w ojczyzny sromotę,
W domowych wichrzycieli albo — rozbójników. —

Z tąd droga Czajlda w samotności biegła
Do stron, kędy Sewilla stoi niepodległa:
Dotychczas jeszcze wolna, dumna, urodziwa,
Jej zdobyczy ciemięzcy skrycie się zachciewa;
Ale zbliża się chwila, widny zabór w dali

[1]) Kaba, Helena Hiszpanii, córka hrabi Juliana, wodza hiszpańskiego, który mszcząc się zniewagi przez Rodryga jego córce wyrządzonej, zawarł sojusz z nieprzyjaciółmi ojczyzny, Maurami; w skutek czego Rodryg został zwyciężony i życie stracił. Pelagiusz zachował swoją niepodległość w górach Asturii; a po kilku wiekach, potomkowie jego towarzyszów broni zakończyli boje zdobyciem Grenady.

Wnet po uroczej ziemi ślady stóp wypali.
Daremny, późny opór, wygłodniałą pisarnię
Odganiać, gdy już przybysz ojczyznę ogarnie:
Gdyby cnotą nie gardził, kto stoi u steru,
Trwałyby dotąd mury Ilionu, Tyru.

Jakoż, nieprzywidując bliskiej losu zmiany,
Dobrze się bawią Sewilli mieszkańce: [1])
Śpiew i biesiadę przeplatują tańce,
Nikt nie choruje na ojczyzny rany;
Nie trąbią trąby, brzęczy mandolina,
Nikt nie szuka przyjaciół, i nie czeka wrogów,
Każdy czci swe rozkoszy jak gdyby półbogów,
Gdy się zachmurzy północna godzina,
Rozpusta w towarzystwie stołecznych nałogów,
Tuli się w ściany grodu, co się chwiać zaczyna.

Nie tak poczciwy wieśniak z towarzyszką swoją:
Oboje smutni we drzwiach domu stoją,
Patrzą, czy też im wojna winnic nie zniszczyła.
Gdy na niebie zabłyśnie wieczernica miła,
Nie ponawia się więcej fandango wesołe.
Monarchowie! porzućcie wielkości mozołę!
Gdybyście znali szczęście, które wojna zmiecie,
O! byłoby inaczej na tym biednym świecie;
Nie brzmiałby twardy bęben, świat byłby szczęśliwy,
Runąłby w piekło duch łez i krwi chciwy.

Cóż porabia barczysty kmieć, wodzący muły?
On modli się lub śpiewa, nabożny i czuły;
Nudów nie zna, wciąż duma, myśl mu z sercem pląsa,
A muł tymczasem ciągle dzwónkami potrząsa.
Wierzchowca swego nagli, «*Viva el Rey*» [2]) śpiewa,
A z Karola-rogala-błazna się naśmiewa.
Klnie Godoja, złorzeczy nieszczęśliwej dobie,
Kiedy króla Hiszpanów przeniewiercza żona,
Gacha z czarnemi oczy polubiła sobie,
I z cudzołostwa wyszła zdrada zajuszona.

Na potoczystej, serokiej równinie,
Kędy ogromnych skał górują szczyty,
A na nich maurytańskie wieżyce w ruinie,
Widać wojny straszliwej oznaki: grunt zryty
Stutysiecznemi końskiemi kopyty,
I trawę, gdzie taborem leżał motłoch srogi:
Tu stał obóz, tam ogień strażniczy, tam wrogi.

[1]) W Sewilli mieszkaliśmy u dwóch dam niezamężnych, bardzo dobrej sławy; starsza i młodsza były obie pięknej urody. Wolność obyczajów która tu jest powszechną, nieco mnie zdziwiła. Nieudzielanie się, nie jest bynajmniej cechą tamtejszych kobiet. Starsza z tych dam zaszczyciła twego syna szczególnemi względami; uściskała go bardzo czule przy odjeździe (bawiłem u nich tylko 3 dni); uciąwszy sobie na pamiątkę *kędzior* jego włosów, obdarzyła go nawzajem *kędziorem* własnych, mającym około trzech łokci długości. Posełam ci go, i proszę abyś mi go aż do mego powrotu zachowała. Jej ostatnie słowa były: Adios, tu, hermoso, me gustos mucho. Bywaj zdrów, piękny młodzieńcze, bardzo mi się podobasz. (B. do matki.)

[2]) »Niech żyje król Ferdynand.« Temi słowy kończą się zwykle wszystkie pieśni patryotyczne Hiszpanów. Są one pospolicie wymierzone przeciw staremu królowi Karolowi, królowej, i księciu Pokoju.

Owdzie chłop śmiały w gniazdach wytracał te smoki;
Chełpliwej dumie jego miłe to widoki,
Przegrane, i na nowo zdobyte opoki.

Kto głębiej zajdzie w góry, spiesząc w dalszą stronę,
Zdybie niekiedy kokardy czerwone; [1])
To godło pożądane znak mu będzie dawać,
Kogo winien pomijać, z kim może przystawać.
Biada, o, trzykroć biada tym, których nie strzegą
Te jaskrawe oznaki poddaństwa wiernego:
Sztylet szybko kaleczy, śmiertelnie uderza,
Francja by niejednego płakała żołnierza
Gdyby skryta, hiszpańska zdradna broń zdołała
Stępić stal płytką, zagłuszyć grzmot działa.

Przy każdym gór zakręcie widać ostre skały
Moreny, i lud zbrojny w janczarki, w kindżały,
Granatnicy, płonący lont, poczty i czaty,
Namioty, rzędem stojące armaty,
Kul piramidy, gęste ostrokoły,
Przecięte drogi, zawodnione doły,
Skład prochów, broni, w opoce wykuty,
Osiodłane rumaki pod strzechą słomianą,
Zwodzone mosty, szańce i reduty
Mówią o krwawych zajściach co wrychle powstaną.

Lecz ten co zgraję władzców jednem swem skinieniem
Na tronach zachwiał, i postrącał z tronów,
Plaga świata całego, chłosta milionów,
Na chwilę się wstrzymuje z wzniesionem ramieniem,
Na chwilę. Wnet zabójcza powódź legionów,
Cały zachód zaleje, a ciężkiem westchnieniem
Ziemia niebo przerazi, struchleją niebianie!
Hiszpanio! o, jak smutny dzień dla ciebie wstanie,
Gdy sęp galicki pod obłoki wzleci,
I w dniu jednym utracisz kwiat najmilszych dzieci.

Mają więc poledz młodzi, szlachetni i śmieli,
By bardziej nabrzmiał pychą herszt nieprzyjacieli?
Czy na to niemasz środka i wybierać trzeba
Między tryumfem zbrodni i upadkiem państwa,
A sromotnym żywotem i piętnem tyraństwa?
Czyż dopuszcza klęsk tyle, srogie, głuche nieba,
Gdy zaborca kraj miły zakrwawić już gotów?
Czyż świętości nie zbawi od gwałtu łupieży,
Ani rada rozumnych, zdanie patrjotów,
Moc mężnych, zacnych rozpacz, ni zapał młodzieży?

Na toż powabna Hiszpanka dziewica,
Wiesza na wierzbie gitarę niestojną,
Śpiewa pieśni wojenne, zaprząta się wojną,
Poślubia sobie zbroję, kopci dymem lica?
Otoż ta sama piękność, co widoku blizny
Unikała z przestrachem, co puszczyków jęku
Słuchać nie mogła, teraz w obronie ojczyzny
Nie lęka się bagnetów, i śród broni szczęku,
Po świżych trupach, między motłoch zbrojny
W kracza jakby Minerwa, śmielsza niż bóg wojny. (C. d. n.)

[1]) Kokarda czerwonego koloru z napisem: Ferdynand VII.

Listy z nad Wisły.

I.

Odzywając się z nad Wisły, nie mogę pominąć milczeniem, iż wedle mniemania moich sąsiadów, chwila obecna przybiera coraz więcej znamion postępowej epoki, postępujemy do rezygnacyi na lepsze czasy. Zdawa się niektórym, żeśmy w chwili przejścia w inne społeczne położenie, w odmienne stosunki, zostajemy pod wpływem siły niewidomej, która nas przekształca, usiłuje uobyczaić inaczej. Jako symbol tej przewidzianej metamorfozy, przedstawia się wiek XIXsty, co się przełamał ku połowie swojej drugiej i jest w pochodzie do nowej (nieznanej) ery.

Takie i tym podobne zdania można by odesłać do kategoryi tych przywidzeń, które pod wpływem humoru tworzy niekiedy ludzka fantazja, gdyby nie pewne moralne symptomata, niespokojność umysłów, rozdrażnienie myśli, niepewność, to wahanie się jakie towarzyszy wszelakim przedsięwzięciom, to szukanie nowej drogi, i lękliwie stawiany krok na raz wybranej; — gdyby wreście nie ta troska, co przysiadła w naszym progu — troska o jutro.

Tę dawną, dziś straconą swobodę dawał nam pogląd na drogę naszego zawodu. — Szeroką przestrzenią ścieliła się równo, obiecywała podróż niepodległą przygodom, bezpieczną i łatwą. Dziś inaczej; brak zaufania w przyszłość niepokoi i drażni; ciągłem drażnieniem nękane umysły, szukając miejsca spoczynku, gdy go nie widzą u siebie, sięgają dalej. Z tąd wyrodziła się ciekawość tego, co za naszym kopcem, za granicą. I niema dziś takiego, któremu obojętne te sprawy, co się ważą na szalach i konferencjach polityki Europejskiej; niema tego, co by nie śledził okiem po termometrze giełdy, i u Gazety (nieodstępnej towarzyszki życia) u tej gazety, co przyjmuje wszystkie skargi i żale, nie szukał pociechy i rady. Są tacy, co te znaki pisane drutem w powietrzu, tę parową burzę, która iskrami i szumem przelatuje po nad słomianą wioską polską, biorą za jakiś złowieszczy horoskop; inni znowu znaczą na swym karbie powodzie, grady, ognie, i słoty, i niepokoją się tą myślą, że liczba tych plag jeszcze nie doszła do egipskiej liczby i wróżą naszym niwom nowe klęski, nadziejom zawody!

Taki skład rzeczy oddziaływa na społeczność dzisiejszą. Nawraca ją ku stronie więcej praktycznej, i skrzętniej chodzi każdy około swego warstatu, troskliwy o byt materjalny i tegoż zabezpieczenie, skorszy do pracy i tą pracą uznojony. Ztąd wykształca się życie nasze wedle pojęć chrześcijańskiego zakonu, przeobraża się w życie, obowiązku i pracy w pocie czoła; z drugiej jednak strony wzmaga się to przywiązanie do ziemskiego dobra, podnosi tegoż wartość i znaczenie; to cofa nas znowu na drodze doskonałości chrześcijańskiej, której szczyt i korona: wyzucie się z dóbr tego świata, dla pozyskania wyższego dobra, to jest duchownego.

Jakiebądź konstelacje wypadków wywołały taki stan rzeczy, to skierowanie się umysłów do realizmu widoczne, utrwalamy nie na drodze materjalnej. Osobisty interes, jest to cel do którego mierzą usiłowania, staranie się *pro domo sua* trzyma w domu nasze myśli, *) zamyka je obręczem gospodarstwa.

Owoż to miłe ognisko zwyczajów tradycyjnych dzisiaj słabiej już płonie; dogasa iskra dawnej myśli i ochoty. Jesteśmy obojętni na to, co było miłem, a co powab miało dla duszy, ponętę dla serca, dziś dla nas obce i milczące. Ten obraz, jeżeli cienie któremi nałożony, nie pochodzą od jakiej chmury, co przelata nad nami, ten obraz jeżeli rzeczywiście odźwierciedla nasze oblicze, być łatwo może, że po niedługim czasie patrząc na siebie, nie poznamy siebie; oby nasi następcy dopatrzyli w nim tych rysów, które cechowały ludzi, zasiedlonych nad Wisłą i Sanem.

Ale w jakąbądź rotacją przejdzie krajowe gospodarstwo, każdoroczna wiosna obok trawy na łące rozsieje i kwiaty, a natura rozwijając te wonne symbola piękna, poddawać będzie pytania, dla jakiego celu i pożytku ręka Stwórcy rozrzuca małe kwiaty po ziemi, tem mieszkaniu człowieka, tej pierwszej jego szkole? Słusznie, twierdzą, że i w naszych czasach znajdują się ludzie, którzy słowa tej zagadki odgadnęli sercem; nietylko, ale uczynili je artykułem swej wiary, przyjęli na siebie jej apostolstwo.

Współczucie i współpojęcie ogółu są to iskry elektryczne, co rozpalają ochotę do pracy. Serdecznym oddechem narodu owiana, rozwija się piękna sztuka, nauka rozrosła się w wielostronne gałęzie; literatura krzewi się i podnosi niekiedy do arcydzielstwa. Niezawsze popłaca axiomat znany »jaki słuchacz taki wieszcz« i jak mówi francuz *quoique et parceque*«; nie ma słuchaczy, występują wieszcze. Postrzeżenia, zamieszczone w tym liście, nie są może na czasie, i niewczesną będzie rozprawa o potrzebie usiłowań w celu podniesienia umysłowości u nas, i budzenia szlachetniejszych uczuć; ale każda chwila zdawa się stosowną, gdy przychodzi nam podnieść zasługę tych, którzy wśród chłodnej atmosfery, co ich otacza, nie stygną w dobrych swych chęciach, i wtenczas nawet, kiedy brakuje im tego popędu, który od narodu wyjść by powinien; pomimo nieprzyjaźnej im konstellacyi, podnoszą sprawę wyższej nauki, umiejętności, sprawę pięknej sztuki i tę, nie na ostatnim szczeblu pożyteczności stojącą sprawę literatury krajowej.

Usiłowania nie stracone; zasiew dobrych chęci a czystych myśli, ma swą gwiazdę przyjazną i marno nie przepada, wydaje plon, współpojęcie świata, czy ten świat cały i wielki, czy objęty węższą granicą pewnego kraju i narodu, iżby takich pracowników poczytać przyszło za zwiastunów lepszej ery i przyrównać do ptaków, których śpiew zwiastuje zawsze niedaleką porę wiosny. Nikt zapewne nie wątpi o tem, że piękna sztuka godną jest orędownictwa i opieki jej przyjaciół; wszakże wpływa wielostronnie na umysł ludzki i jego serce, chociaż nie działa zarówno na wszystkich. Tam obudza dopiero pewne uczucia, gdzieindziej rozwija je i podnosi. Ale i to pożyteczne jej działanie ograniczone; piękna sztuka przysłuża mieszkańcom miasta, tam (że powiem) ma swoje główne ogniska i ołtarze: galerje obrazów, perjodyczne wystawy, atelier artystów.

*) Dawniej wybiegały często z domu do sąsiada, przyjaciela, kuma, nęcił ją brzęk puchara, dzwonek kuligowy, albo miłe ujadanie gończych, i ta ochotka polowania na bekasy i facecje.

Co się tyczy dalszych stron rozległego kraju, środki któremi się posługuje, niedostateczne mieszkanie akcyonarjusza, w przeciągu lat dziesięciu, przystroi ściany dzisięcioma rycinami, ozdobi się (może) obrazem większej wartości, wygranym na loterji, padnie kilka kropel na białe tło powszedniego życia, czy je ukoloryzuje? (D. n).

Rozmaitość.

* **Założenie kamienia węgielnego do Akademii Marynarki w Fiume.** Prawie we wszystkich pismach niemieckich jest wzmianka o założeniu kamienia węgielnego do znakomitej budowli, przeznaczonej na Akademją Marynarki w Fiume,— a jednak mało kto wie, że wybudowanie tego olbrzymiego, i tyle nadziei dla marynarki Austryi obiecującego gmachu, jest powierzonem naszemu współrodakowi, podpułkownikowi w sztabie Inżynierów, Wincentemu Poradowskiemu.

Jestto gmach czteropiątrowy, w formie podkowy, 327. łokci długi, i okazałością swoją mogący iść w porównanie z budynkami największemi pierwszych stolic Europy.— I taki olbrzym został wyprowadzony w 8 miesiącach, z których 5 na zimę przypada, przez naszego ziomka, już dzisiaj do gzymsu dachowego.

Dnia 26go Marca b. r., zjechał Jego C. Wysokość Arcyksiąże Ferdynand Maksimilian Najwyższy Komendant Marynarki państwa austryjackiego, ze sztabem swoim do Fiume, i otoczony znakomitościami wojskowemi, między któremi najpierwsze zabierał miejsce Jego Eks. Ban Kroacii, Hrabia Jellacic, i władzami cywilnemi, wśrod nieprzemierzonego okiem ludu, przyjęty przy głównem wchodzie przez wysokie Duchowieństwo, sam wziąwszy młot, podany mu przez naszego ziomka, założył kamień węgielny do rzeczonej akademii marynarki, poświęcony przez przewielebnego Infułata Cimiotti. Po pierwszem uderzeniu młota, uczynionem wśród najsolenniejszej ciszy, odezwały się naraz wszystkie działa, salwy ręczne wojska linjowego, bicie dzwonów, okrzyk »hurrah« całej ludności przytomnej i majtków na okrętach, aż nareszcie zakończył ten akt solenny przew. Infułat stosowną przemową. Młot i kielnia, jedno z arcydzieł wyrobów stalowych, oddał J. C. Wysokość przez ręce naszego rodaka, dla akademii marynarki, do zachowania na wieczną pamiątkę. Całe miasto obchodziło ten dzień, jak święto, wszystkie domy w mieście i statki kupieckie na morzu wszystkich prawie narodów były ubrane kobiercami i chorągwiami.

O piątej godzinie, z południa był suty obiad u J. C. Wysokości na parowcu wojennym *Elizabeth*, a po objedzie raczył J. C. Wysokość wyrazić naszemu ziomkowi w najpochlebniejszych wyrazach swoje zadowolnienie, dodając, że w swojem sprawozdaniu niezapomni wspomnieć o usiłowaniach naszego ziomka przed Najjaśniejszym Panem.

Wieczor cały do póżnej nocy, po teatrze, na którym raczył być J. C. Wysokość, najpiękniejsze ognie sztuczne zajmowały widzów; dopiero nad ranem odbił od brzegu okręt „Elizabeth" z dostojnym Cesarzewiczem.

Księgarz tamtejszy pan Rezza, kazał swoim kosztem odlitografować w wielu egzemplarzach gmach ten od frontu, potem miasto Fiume, a nakoniec akt założenia kamienia węgielnego, właśnie w tej chwili przedstawiając Arcyksięcia, gdy biorąc młot z poduszki, na której podaje go podpułkownik Poradowski, podnosi młot do pierwszego uderzenia. Egzemplarz jeden tej litografii otrzymała księgarnia Kallenbacha, gdzie na wystawie jest umieszczony.

* **Najęci ojcowie i matki.** W Berlinie porządek balów publicznych przyszedł do niezwyczajnej doskonałości, mianowicie w salach dla niższych klas przeznaczonych. Między innemi można tam za tanie pieniądze nająć sobie ojca, matkę lub ciotkę, co nie mało znaczy dla młodszych miłośnic tańcu. Ojciec z parasolem dwa razy tyle kosztuje, co ojciec bez parasola; toż samo matka w jedwabnej mantyli i w rękawiczkach drożej kosztuje od damy, niemającej tych zbytkowych przedmiotów. I tak tedy zbiera się nieraz kilka wesołych i tańczyć lubiących szwaczek, i nająwszy sobie ojca albo matkę, ruszają na bal pod opieką tegoż ojca lub matki. Naprzód się wymawia co najęci rodzice mają jeść i pić. Matka dostaje zwykle filiżankę kawy, butersznycik i szklankę piwa. Ojciec może sobie i więcej wymówić, mianowicie co do napitku, bo ten ma prócz innych, i ten jeszcze czasem guzem pachniący obowiązek, aby w razie jakiej awantury, gdy przyjdzie do bitki, wyprowadzić szczęśliwie powierzone sobie dziatki Kucharki niewdają się w najmywanie ojców i matek, bez których opieki obejść się mogą. Najmują także tańcerzy, i takowych płacą stosownie do ubioru. Najwięcej kosztuje tancerz w białej kamizelce. Jeżeli do tego ma i białe rękawiczki, kosztuje czasem i talara. Ale za to ma tańczyć wszystkie tańce, bez wytchnienia. Czasem dwie i trzy tancerki składają się na jednego tancerza.

Nowiny lwowskie.

* Dnia 14 b. m. odbyły się znowu sądy publiczne w dwóch sprawach kryminalnych. Jedna z nich nie wielkiej wagi bo o małą kradzież, nie wzbudziła wiele interesu. Ale za to druga od początku do końca utrzymywała słuchaczów w ciągłem zajęciu; jakoż odznaczała się i treścią, i szczegółami, i prowadzeniem onej rzec by można dramatycznem. Sprawa toczyła się o zabójstwo. Rzecz się tak miała.

U wieśniaka *St...* zwanego, lat 48 mającego, był w służbie Iwan Saban, którego ojciec trudniący się żebractwem, mieszkał w tej samej wsi u zięcia swego. Tenże parobek Iwan przychodził nieraz do ojca i szwagra, i skarżył się zawsze, że go jego pan, Str.. mocno bije. Mianowicie w sobotę przed świętami Bożego narodzenia, przybiegłszy do nich, pokazywał ślady mocnego pobicia, lecz tym razem wrócił do pana swego. W poniedziałek przepadło w domu Str.. a parę bochenków chleba; Str.. miał posądzenie na Iwana, i widłami tak go mocno pobił, mianowicie w głowę, że ten jak się położył, po tygodniu mało co już mówiąc umarł. Rzecz się ta nie zaraz doniosła, tak że już trupa wygrzebywać musieli, aby zrobić sądową obdukcją.

Obrońca był p. adwokat Śmiałowski. W imieniu prawa i sprawiedliwości występował jako prokurator p. Reiner. Tak oskarzenie jak i obrona odznaczały się silną i wymowną dialektyką, co na słuchaczach nadzwyczaj silne robiło wrażenie. Debaty zasadzały się głównie na dwóch punktach, które obrońca podnosił jak najdobitniej, a oskarzyciel, oparty na prawie, zbijał wymownie. Najprzód oskarzony zaprzeczał pobicie sobotnie, przez co poniedziałkowe pobicie, jako skutek gniewu, posądzeniem kradzieży pobudzonego, w słabszem występywało świetle. Powtóre szło o to: czy obdukcja tak poźno robiona, mogła rzeczywiście okazać, azali to pobicie było śmiertelne. Tu przywołani lekarze, mimo zarzutów silnych obrońcy, przeprowadzili zdanie swoje, że obicie to, mianowicie głowy, spowodować musiało śmierć, i byłoby nawet ją spowodowało, gdyby (jak to trafnie wprowadził obrońca) nawet był ratunek, którego rzeczywiście zupełnie brakowało.

Dla powodów zwalniających, mianowicie dla nieposzlakowanego dotąd życia, które się tem nawet dowodzi, że obżałowany jest opiekunem kilkorga dzieci cudzych, tenże obżałowany Str.., na dwa lata tylko ciężkiego więzienia skazanym został, chociaż początkowo prokurator, trzymając się prawa, wnosił na lat pięć.

* **Mody.** Rycina do dzisiejszego numeru przyłączona przedstawia: Pierwsza figura: Suknię z surowego jedwabiu, ciemnym rysunkiem nakrapianą. Stanik obszyty taśmami podobnego rysunku. Rękawiczki i kołnierzyk z haftowanego muszlinu. Kapelusz z różowej tafty, ubrany w białe blondyny. Skórkowe rękawiczki. Buciki czarne, atłasowe.

Druga figura przedstawia: suknię z brokatu szafirowego, w czarne wzory, spodnica o trzech falbanach, nie garnirowanych, stanik o podwójnym fartuszku, rękawy z bufami, rękawiczki i kołnierzyk z muszlinu i koronek. Kapelusz z białej tafty, ustrojony w blondyny i kwiaty. Rękawiczki skórkowe. Bóciki czarne atłasowe.

Na arkuszu wzorów przedstawiona forma sukienki dla małej dziewczynki. Jest ona z tafty, obszyta szmuklerską robotą. Sukienka ta może być także pikowa, z wypustkami i białemi taśmami, albo z nankinu lub surowego batystu, obszyta wyrabianemi taśmami białemi. Na odwrotnej stronie są wzory do haftu kołnierzyków, chustek od nosa, falban, spodnic, wstawek i t. p.

Przyjechali od dnia 16. do 18. Kwietnia do Lwowa.

PP. Grzegorz Ziembicki z Rudnik. Wiktor Gumowski z Borek. Henryk hr. Potocki z Krakowa. Tadeusz Skolimowski z Humieńca. Piotr hr. Krasiński z Rohatyna. Paulina Shajdakowski z Nowosiółki. Kajetan hr. Lewicki z Chorostkowa. Kajetan Guzkowski z Nowego miasta. Jan Szafrański z Mościsk.

PP. Tytus Winnicki z Nowosiółki. Wojciech Małachowski z Złoczowa. Alexander Wybranowski z Kołomyi. Ludwik Szawłowski z Przewłoki. Szczepan Baczyński z Czarnołoziec. Teodor Łagodziec z Kotiatycz. Edward hr. Fredro z Bachórza. Jul. Grocholski z Podhorzec. Antoni Zbrożek z Wierzbiąża. Jan Czajkowski z Kamionki str. Tad. Zatorski z Załuża. Leonard Truskolawski z Płonia. Tymoteusz Reszytełowicz z Przemyśla. Stan. Białobrzeski z Dziedziłowa. Konstanty Pietruski z Podhorzec.

Wyjechali od dnia 16. do 18. Kwietnia ze Lwowa.

PP. Tad. Turkuł do Rawy. Wład. Skrzyński do Żurawna. Karol Schwajkot. Augustyn Romaszkan do Tarnopola. Antoni Witosławski do Przemyślan. Erazm Lencewicz do Zadworza. Bolesław Łopuszański do Czyszek.

PP. Jan Zadurowicz do Czerniowic. Mich. Trzciński do Doliny. Wład. Brenner do Grodowic. Stan. Fillar do Kalwarji. Sobest. Adamowicz do Zadwórza. Teod. Reszytyłowicz do Lubelli. Fran. Szymanowski do Spasowa. Jan Dolnicki do Remanowa. Wojc. Patla do Kutkorza. Józ. Mikołajewicz do Wązowy. Tyt. Zarzycki do Chotyłób. Jan Krzeczkowski do Złoczowa. Bronisł. Strzelecki do Zarwanicy. Adam Bogdański do Przemyśla. Leon Napadjewicz do Mościsk. Alex. Olbrotowski do Przemyśla.

Kurs telegrafowany z Wiednia 18 kwietnia o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	$102\frac{1}{8}$	Pożyczka 5% . . .	$85\frac{15}{16}$
Hamburg za 100 tal. branco	75	Akcye banku	1133
Londyn za 1 funt szterl.	10.3	Kolej północna . . .	3075
Medyolan za 300 lirów	$102\frac{1}{4}$	Obl. ind.	$78\frac{3}{4}$
Paryż za 300 franków	$119\frac{3}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	—
Agio duk. ces. . . .	$5\frac{1}{2}$	Pożyczka narodowa .	$86\frac{7}{16}$

Dzisiejszy kurs lwowski.	Gotówką		towarem	
	złr.	kr.	złr.	kr.
Dukat holenderski	4	42	4	46
Dukat cesarski	4	45	4	48
Półimperyał zł. rosyjski	8	12	8	16
Rubel papierowy	—	—	—	—
Rubel srebrny rossyjski	1	35	1	36
Talar pruski	1	29	1	31
Polski kurant i pięciozłotówka	1	9	1	10
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	84	30	85	—
Galicyjskie obligacye indemizacyjne bez kuponu	78	—	78	30
5 proc. pożyczka narodowa	85	—	86	—
Śrebro	—	—	—	—

Kamienica o jednem piątrze, przy ulicy Łyczakowskiej położona, jest z wolnej ręki do sprzedania. Bliższą wiadomość powziąść można u doktora praw, Słabkowskiego pod Nr. 152. w rynku, nad cukiernią Pola. (G. 105. 2—3)

W księgarni H. W. Kallenbacha
we Lwowie, są do nabycia:

NOWINY

z roku 1854 kompletne, jako też z roku 1855 od Numeru 14go do końca za cenę zniżoną po
4 Złr. m. k. rocznie. (G. 110. 1—3)

STROJE DAMSKIE

świeżo **nadesłane z Paryża**, między innemi **KAPELUSZE SŁOMKOWE** otrzymał właśnie przy Nowej ulicy.
(G. 108. 3—3) *G. Gorgon.*)

Wieś **Prusy** odległa od półtory mili od Lwowa', na trakcie Jaryczowskim położona, jest do sprzedania, lub wydzierżawienia. Bliższą wiadomość zasięgnąć można listownie lub ustnie (z wykluczeniem pośredników czyli faktorów) u pp. adwokata M. Gnoińskiego, K. Widmana pod l. 346 w mieście, we Lwowie, lub u W. Michała Praweckiego w Brzeżanach. (G. 106. 3—3.)

Handel towarów płóciennych,
woskowych i herbaty

FRYDERYKA SCHUBUTHA

we Lwowie,

przy rynku pod liczbą 173, obok księgarni pana K. WILDA.
poleca swój skład
w najlepszym i najświeższym doborze

chińskiej Pecco herbaty i prawdziwej rossyjskiej
karawanowej herbaty Pecco,

po następujących cenach:

Nr. 1 Pecco herbata czarna bez kwiatu, funt po 1 złr. 20 kr,
» 2 » » średniej jakości z kwiatem » » 1 » 36 »
» 3 » » przedniej » » » » » 2 » — »
» 4 » » bardzo przednia » » » » 2 » 30 »
» 5 Herbata praw. ross. karawanowa » » » » 3 » — »
» 6 » » » przednia » » » » 3 » 30 »
» 7 » karawanowa familijna » » 4 » — »
» 8 » » » najprzedniejsza » » 5 » — »

Ostatni gatunek herbaty w puszkach ozdobnych porcelanowych
cała wielka puszka po 10 złr.
średnia » » 8 »
mała » » 7 »

Wielki odbyt naszego handlu w tym właśnie artykulc, ułatwia nam dostarczanie kupującym świeżego zawsze i dobrego towaru. — Zamówienia pocztą z prowincyi uskuteczniamy szybko i rzetelnie.

☞ Dla uniknienia pomyłek prosimy na powyższe oznaczenie firmy handlu zwrócić uwagę.
(G. 76. 6—15)

KAROL WERNER

we Lwowie, na placu katedralnym Nr. 29 i 30 ma w sklepie swoim SKŁAD c. k. uprzywilejowanej Fabryki żelaznej pana M. Marszałkowicza w Kamienicy i zaleca swój dobrany

SKŁAD WSZELKIEGO RODZAJU ŻELAZA W SZTABACH

po cenach fabrycznych jak najumiarkowaniej wyrachowanych; przyczem ma zaszczyt dodać, że **jakość** uznana jest za najlepszą, a spis cen na każde wezwanie udzielonem będzie jak najprędzej.

Prócz tego ten wyżwyrażony handel posiada obszerny skład wszelkiego rodzaju **gwoździ** budulcowych, najlepszego gatunku, po jak najumiarkowańszych cenach fabrycznych. Ma dalej skład wyrobów z **chińskiego śrebra**, z najsławniejszej fabryki wyrobów metalowych pp. **Wilh. Conraetz i Corra** w Wiedniu, składający się z wszelkiego rodzaju przyborów, jakoto: łyżek, nożów, grabków, do wyboru, i po cenach jakie są w fabryce używane. Na frankowane wezwania, najchętniej odpowiedź udzielona będzie. Lwów dnia 25. Marca 1856. (G. 101. 4—12.)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: H. W. KALLENBACH. — Z drukarni Zakł. nar. Ossolińskich, dzierżawca W. MANIECKI.